**fragment 1, str. 313-314**

Nie jestem aktorem, ale od kiedy sięgnę pamięcią, zawsze coś przedstawiałem – mówi ojciec Leon. – W trzeciej klasie „grałem” książkę zniszczoną przez niegrzeczne dzieci. Na koloniach zuchowych wcieliłem się w rolę „Macieja” (Macieju, Macieju, a gdzie ty jedziesz?). Były też jasełka, w których obsadzano mnie jako Żyda czy Śmierć.

Międzyszkolny teatrzyk w Siedlcach wystawiał Balladynę, w której byłem Pustelnikiem.

Stefek Knabit pojawiał się jako prowadzący i na akademiach okolicznościowych i na ogniskach harcerskich, a nawet próbował reżyserować – jak mówi – „komedyjki” odgrywane potem przez wiejską młodzież w remizie strażackiej w Kosowie Lackim

i w okolicznych wioskach.

Artystyczne uzdolnienia przyszłego benedyktyna były widoczne rzeczywiście od jego najmłodszych lat i chyba właśnie w młodości najbardziej dały o sobie znać. Czytelnik pamięta historie z pierwszych rozdziałów tej książki: o przedstawieniach ostatkowych w seminarium czy o wierszowanej prośbie do proboszcza z pobliskiej wioski.

Przypominamy sobie też tę małą „prowokację” podczas jednego z nabożeństw na Skałce: „Teraz chór wykona Psalm 138...”. Chwila milczenia – i jedno słowo, a raczej nazwisko: „Gomołki”. Znowu zawieszenie głosu, aby ludzie mieli czas się pośmiać

i wyjaśnienie: „Mikołaja oczywiście, Mikołaja”. Oczywiście komentarze liturgiczne, które prowadził ojciec Leon, były rzeczowe i poważne, ale dzięki jego talentowi „medialnemu” stawały się lekkie i przystępne w słuchaniu, co znacznie zwiększało ich komunikatywność. A komunikacja była w tym czasie bardzo ważna,bo przecież wprowadzano w Kościele poważne reformy w bardzo niesprzyjających okolicznościach. Dzięki Soborowi Watykańskiemu II możliwe stało się dokonanie zmian w liturgii, które w Polsce były wprowadzane w warunkach walki komunistów z Kościołem i absolutnego monopolu medialnego ateistycznej władzy. Dlatego jedynym sposobem dotarcia do odbiorcy był przekaz bezpośredni. Ojciec Leon stał się – rzec można – ważnym „aktorem” tego procesu. Pierwsze kroki stawiał w tej roli jako katecheta:

– Pomagając dzieciom modlić się podczas Mszy Świętej i wprowadzając je w misterium Eucharystii, korzystałem przez lat paręnaście z mikrofonu. Komentarz do Mszy był konieczny w tym zwłaszcza czasie, kiedy dokonywało się przejście, powolne i roztropne, z języka łacińskiego do polskiego. Poza głoszeniem kazań trzeba było jeszcze pielęgnować i ten „dział łączności z widzami”, którzy mieli stawać się coraz bardziej uczestnikami liturgii.

*str. 313-315*

**fragment 2, str. 351-352**

Życie zakonne to jest sukces Pana Boga, który mnie powołał. Ja na to wezwanie odpowiedziałem, nie zdradziłem Jezusa w ważnej sprawie, w drobiazgach nie zawsze

byłem idealny, ale wytrwałem. Idę tą drogą, zachowując się mądrze lub głupio, ale idę i chcę wytrwać. Cieszę się tym i dziękuję Bogu za powołanie. A przecież wielu ludzi nie odpowiedziało lub później odeszli, popili się, związali z kobietami. Gdy patrzę na te pięćdziesiąt pięć lat w zakonie i sześćdziesiąt jeden w kapłaństwie, to chcę tylko powiedzieć: „Panie Boże, nie jestem godzien”. Doskonale rozumiem Świętego Piotra, który po cudownym połowie ryb padł Jezusowi do stop i powiedział:

„Panie, wynajdź ode mnie, bo jestem człowiek grzeszny”. Patrzę na swoje osiemdziesiąt cztery lata, na tylu ludzi, którzy już nie żyją. Przeżywam radość, że mogę komuś czynić dobrze, że to, co robię, komuś się przydaje. Jestem jednak świadom swoich

niedociągnięć, na przykład bałaganu w celi, którego przez głupotę nie mogę opanować, bo zamiast każdego dnia poświęcić piętnaście minut na sprzątanie, wolę zobaczyć, co się dzieje na Ukrainie, a co z samolotem malezyjskim6. Dzięki temu bałaganowi

nie mam poczucia samozadowolenia, gdy ludzie mówią z uznaniem: „O, ojciec Leon robi i to i to”. Może dzięki temu, że w klasztorze ciągle widzę swoje braki, to nie mam żadnej podstawy do zadzierania nosa. Wystawa może i ładna, ale w sklepie

wciąż towar nie najlepszej jakości, albo po prostu jest bałagan. Czym tu się chwalić? Jutro rano mogę nie wstać, mogę umrzeć. Wiszę na Panu Bogu.

Gdyby chcieć scharakteryzować jednym słowem stosunek ojca Leona do życia i do siebie, to należałoby powiedzieć: „realizm”. Widzi rzeczy takimi, jakimi są, a nie jakimi chciałoby się je widzieć. Święta Teresa z Avila taką umiejętność chodzenia

w prawdzie nazywa pokorą.

– To jest znalezienie swojego miejsca wobec Boga i wobec ludzi – mówi mnich. – „Kto się uniża, będzie wywyższony”. To zresztą jest bardzo praktyczne, bo jak się położysz, to już cię nie przewrócą. „Zapamiętaj sobie chłopie, leżącego się nie kopie”. (Niektórzy pytają: „To kiedy go kopać? Jak będzie stać? Niebezpieczne, bo wtedy może oddać”). Słabością obezwładnia się przeciwnika. Mieczem łatwiej przetnie się coś twardego niż poduszkę. Ale pokora wymaga też dużo siły. Trzeba być mocno zakorzenionym w Panu Bogu. Kiedy małe dziecko idzie samo, to się boi psa albo chuligana, ale kiedy idzie z ojcem, który trzyma je za rękę, to się nie boi, uważa się za ważne. Tak samo jest z Panem Bogiem. Całe Pismo Święte o tym mówi: „Nie lękam się, bo mój Bóg jest ze mną”. Jeśli jestem blisko Niego, to jest zupełnie wszystko jedno, w jakim miejscu się znajduję.